

Wyżej niż kondory

Wiktor Ostrowski

**Wydawnictwo Sklepu Podróżnika
Warszawa 2015**

Morzem, koleją, samochodem...

O podróżach morskich właściwie nie ma co pisać. Ich czar, piękno i cały romantyzm już dawno przeszły do historii. Odeszły razem z epoką śnieżnobiałych żagli, troską o kierunek sprzyjających wiatrów, skrzypem bloków przerzucanych rej i przechyłem uskrzydłonego statku. Podróż wielkim parowcem czy motorowcem ma w sobie znacznie więcej cech życia wielkemiejskiego, z jego gwarem, rozgardiaszem i... zapachami kuchennymi. Zwłaszcza wtedy, gdy się podróżuje pod pokładem, tak zwaną klasą emigrancką.

W ostatniej chwili przed naszym wyjazdem coś się popsuło, ktoś zawiódł i ostatecznie zamiast sześciu obiecanych biletów turystycznych dostaliśmy wprawdzie przejazdy pierwszej klasy, ale tylko dwa! I to nawet na różne linie okrętowe. Jeden z tych wspinających biletów dało się zamienić, dokupiliśmy resztę i w rezultacie byliśmy w posiadaniu pięciu biletów nawet nie klasy trzeciej, lecz najtańszej, dla emigrantów. Kok, jako szef ekspedycji, był obdarzony przejazdem w klasie pierwszej: jednocześnie jednak miał pełnić obowiązki opiekuna zespołu emigrantów podróżujących tą samą linią angielską. Komisarz statku zdziwił się bardzo, gdy ten pierwszoklasowy pasażer zwrócił się do niego z dwoma żądaniami: wyznaczenia na pokładzie zacisznego miejsca do ustawienia precyzyjnego aparatu, którym miało się robić pomiary (co dwie godziny przez cały dzień) natężenia promieniowania kosmicznego, i wyznaczenia mu miejsca w klasie... emigranckiej! Pierwsze załatwiono bez trudu, natomiast druga prośba wzbudziła

swego rodzaju – powiedzmy delikatnie – niedowierzanie. Czy warto było tłumaczyć, że to względy koleżeńskie? Że chcemy być wszyscy razem? Suchym i oficjalnym tonem Kok poinformował więcej niż zdziwionego urzędnika, że będąc oficjalnym opiekunem i obserwatorem warunków podróży emigrantów – chce być z nimi razem i przekonać się osobiście jak i co. Takie wyjaśnienie pomogło, ulokowano go razem z nami.

By utrzymać się w formie fizycznej, codziennie urządzaliśmy na pokładzie prawdziwy cyrk: skomplikowaną gimnastykę, przedziwne skoki i biegi. Te ostatnie należałoby nazwać raczej biegiem w miejscu, gdyż odbywały się na malutkim, malusieńkim skrawku pokładu przeznaczonym dla emigrantów. Na samym dziobie statku. Przypatrujący się z zaciekawieniem tłum pasażerów z górnych pokładów trochę nas irytował, rozpoczynaliśmy więc ćwiczenia wtedy, gdy melodyjny gong wzywał ich na posiłki. Zaintrygowany kapitan wysłał do nas w odwiedzinach jednego z oficerów. Po wyjaśnieniu celu podróży dostąpiliśmy zaszczytu nie tylko zwiedzenia kapitańskiego mostku, lecz także zobaczenia w jego kabinie albumu ze zdjęciami lotniczymi... Aconcagui! Okazało się, że sam kapitan odbył kiedyś podróż samolotem do Chile i właśnie w tym okresie zapoznał się z Andami.

*

Czy wspominać o wrażeniu, jakie czyni na przybytku Buenos Aires? Chyba nie warto, myślę, że pisano o tym nie raz. Na pewno nie rozglądaliśmy się na ulicach wspaniałej metropolii za... gauczami i na pewno nie zaimponowały nam luksusowe lokale nocne. Dwie rzeczy natomiast pozostały na zawsze w pamięci: nadzwyczajna wprost serdeczność i uczynność, z jaką spotykaliśmy się od pierwszej chwili ze strony władz, organizacji i nawet osób prywatnych, a druga to *aduanas*, czyli piekło biurokracji urzędu celnego.

Szereg wizyt i konferencji w Instytucie Geograficznym wzbogaciło nasze wiadomości o końcowym odcinku podróży do stóp Mercedario i Ramady. Adam naturalnie na dobre ugrzązł w Instytucie Meteorologii, uzgadniając tam system robienia obserwacji i uzyskując wiele cennych wskazówek. Honorową opiekę nad wyprawą objął argentyński Touring Club. Jego członkowie w sposób nadzwyczaj miły i serdeczny umożliwili nam poznanie

najciekawszych rzeczy nie tylko w Buenos Aires, ale i bliskiej okolicy. Ze słynnego muzeum przyrodniczego w La Plata trudno było nas wyciągnąć.

Nie starczyłoby miejsca na wyliczenie wszystkich przejawów życzliwości i chęci przyścia ekspedycji z pomocą. Nawet zakupując zapasy żywności i konserw, ze zdziwieniem zobaczyliśmy rachunek ze specjalną zniżką cen, nawet dyrekcja kolei prywatnej na trasie Buenos Aires–San Juan dała nam zniżkowe przejazdy, nie pobierając żadnej dopłaty za bagaż, który przecież ważył przeszło półtorej tony! To ostatnie zawdzięczaliśmy chyba temu, że jej ówczesny dyrektor M. F. Ryan sam był znanym andynistą, a przecież wiadomo, że wszyscy alpiniści czy andyniści na całym świecie doskonale się rozumieją i nawzajem sobie pomagają.

Pewna wiadomość, zakomunikowana nam od razu po naszym przybyciu do Buenos Aires, była trochę niepokojąca. Chodziło o to, że aby udać się w część Andów leżącą na terenie prowincji San Juan i pracować tam, trzeba było uzyskać specjalne pozwolenie od gubernatora tej prowincji, doktora F. Cantoniego. Obawialiśmy się straty czasu spowodowanej ewentualną długą korespondencją. Poselstwo RP w Argentynie, goszcząc nas i opiekując się troskliwie, wysłało natychmiast na ręce gubernatora długi list, tłumaczący zamiary i zadania ekspedycji. Liczono, że odpowiedź może nadejść za dwa, trzy tygodnie. Tymczasem otrzymaliśmy ją... czwartego dnia! Lakoniczna, a tak wiele mówiąca depesza: „Uważam eksplorację Andów za bardzo wskazaną. Służę gościną i pomocą. Cantoni”.

Jak się potem okazało, depesza ta nie była zwykłą grzecznościową formułką, a obiecana pomoc była tak wydajna, że mimo – jak już wspominałem wyżej – szczupłych środków finansowych wyprawy, pozwoliła nam doprowadzić plan prac do maksymalnych projektowanych granic.

Śpieszyliśmy się bardzo, lato już się rozpoczęło; każdy, nawet najprzymienniej spędzony dzień w Buenos Aires musiał skracać czas na właściwą pracę w górach. Tymczasem przywieziony ekwipunek jeszcze musiał czekać na swoją biurokratyczną kolejkę.

Poruszając niebo i ziemię, otrzymaliśmy go po dniach... szesnastu.

Tak więc dopiero dwudziestego trzeciego grudnia wyjechaliśmy do San Juan.

Krajobraz pampy – płaskiej jak stół, zielonej, soczystej; tego niezmiernego i słynnego na cały świat swoim bogactwem pastwiska – drugiego

dnia naszej podróży zamienił się w step-pustynię. Skręciliśmy z Mendoza na północ. Pociąg przebiegał przez obszary puste, suche, pozbawione wszelkiej zieleni. Wrażenie potęgował jeszcze czerwony pył wysuszonej na pieprz gleby. Tu i tam wiatr porywał całe chmury tego kurzu, kręcił z zawrotną szybkością, jakby wysysał z ziemi, związał w pionowe smugi i jako trąby powietrzne posyłał ku błękitnemu niebu. Takie trąby powietrzne wędrowały we wszystkich kierunkach, można było ich naliczyć jednocześnie kilkanaście sztuk. Na niebie ani chmurki. Ani śladu obłoków.

Upał! Piekielny upał. Rozpalone wnętrze wagonu przypomina rozgrzany piec. Mimo szczelnie zamkniętych okien kurz wdziera się wszędzie, centymetrową warstwą pokrywa wszystko w przedziale, chrupie w zębach, drapie w gardle.

Nawiązuję z kimś rozmowę, pytam: skąd taki kurz? Widocznie dawno nie było deszczu? Otrzymuję odpowiedź wręcz nieprawdopodobną:

– Ostatni raz deszcz padał tu dwa i pół roku temu...

Jak to? Nie mogę zrozumieć. Dwa lata temu? Adam z dezaprobatą kręci głową i poucza mnie, że zamiast zadawać takie pytania – należałoby wcześniej pomyśleć i zapoznać się teoretycznie z warunkami meteorologicznymi tej części Argentyny. Sam jest właśnie taki mądry po rozmowach z fachowcami z Instytutu Meteorologicznego w Buenos Aires. Udobruchany butelką lemoniady, robi mały wykład: od wybrzeża Atlantyku dzieli nas teraz odległość wielu setek kilometrów na ogół bezwodnej pampy, zresztą wschodnie wiatry są bardzo słabe i zaliczają się do zjawisk rzadkich. Natomiast od zachodu, od stosunkowo niedalekiego Oceanu Spokojnego, obszary te są odgradzone niebotycznym murem Kordylierów, przeszkodą sięgającą do siedmiu tysięcy metrów wysokości! Nie przedostają się przez nią chmury deszczowe, wilgoć ich osiadła w postaci śniegu i lodu na szczytach. Poza tym – mikroklimat tej części Andów, poza tym – wiatry wstępujące.

Jest zbyt gorąco, by słuchać wykładu, wolę schować się do wagonu restauracyjnego posiadającego własny mikroklimat w postaci lodówki i zapasu wody sodowej.

Na dworcu w San Juan mieliśmy pierwszy dowód troskliwości i obiecanej przez gubernatora pomocy. Spotkał nas odkomenderowany przez niego

inżynier rządowy, pan Pavlovski, Czech z pochodzenia, z którym naturalnie mogliśmy wszyscy porozumieć się bez trudności. Inżynier Pavlovski poinformował nas, że aczkolwiek sam gubernator znajduje się w tej chwili gdzieś daleko, na inspekcji robót publicznych, przed wyjazdem wydał jednak szereg dotyczących nas rozporządzeń i pojutrze rano wyruszamy samochodem już w Prekordyliery; po drodze zatrzymamy się w estacji Calingasta należącej do brata gubernatora, również doktora, Aldo Cantoniego. Że potem dostaniemy samochody aż do Tamberías, i że tam mają nas oczekiwać konie i juczne muły, oddane do dyspozycji wyprawy na cały okres jej prac w prowincji San Juan. To było wprost nadzwyczajne! Jak w bajce! Odpadały więc wszelkie troski związane z wynajmowaniem albo kupowaniem jucznych zwierząt, z organizowaniem w nieznanym warunkach transportu, mały wydatki!

Doprawdy rozpoczęliśmy wyprawę pod dobrą gwiazdą. Przyszłość jej widzieliśmy już w barwach różowych i nawet piekielny upał końca grudnia jakoś wydawał się mniej piekielny.

Koniec grudnia... Właśnie kartka w kalendarzu hotelowym wskazywała datę dwudziestego czwartego... Wilia! Największe święto w naszej ojczyźnie, święto rodzinne, święto choinki, wesołych dzwonek pędzących po zaślanych puszystym śniegiem drogach sań, święto zimowej, mroźnej nocy...

Nas tymczasem zaproszono na zabawę ludową odbywającą się w podmiejskim parku. Oglądaliśmy argentyńskie tańce narodowe – *el pericón nacional*, *el gato* – tańczone pod dźwięk ogromnych posrebrzanych ostróg, w pięknych strojach gauczowskich. Obok mniej uroczycie nastrojona część publiczności – młodzież – wesoło pluskała się w basenie pływakim. Zgodnie uznaliśmy, że jest to najwłaściwsze spędzenie upalnej nocy.

Nazajutrz wyruszyliśmy autami skoro świt, by uciec przed południową spiekotą. Tuż za San Juan droga wchodzi w Prekordyliery. Nie tak wyobrażaliśmy sobie te dziwne góry. Kopulaste wierzchołki ciągną się długimi szeregami, coraz wyższe, coraz dziksze. Otwarte fałdy i warstwy skał są jakby doskonałą ilustracją do podręcznika geologii. Roślinności ani na lekarstwo, za to cóż za bogactwo kolorów! Barwy skał są mocne, intensywne, plamy różnych odcieni pomieszane w sposób fantastyczny. Gdzieś na dnie głębokiego kanionu, nad brzegiem dawno wyschniętego potoku, śmiało strzela w górę ogromna skała, niedostępnością swoich pionowych ścian ucieka

dziesiątkami metrów w górę. Z tą skałą, jak nam opowiadano, wiąże się pewna prastara indiańska legenda – tak piękna, że chciałbym ją przytoczyć.

„Dawno, bardzo dawno, gdy w tym kraju jeszcze nie słyszano i nie wiedziano o istnieniu ludzi o białej skórze, jeżdżących na ogromnych, ogoniastych zwierzętach i posiadających tajemną moc zabijania z daleka piorunem i grzmotem, w dolinie tej znajdowało się osiedle. Mieszkali tu miedzianolicy odwieczni władcy owej ziemi.

Bogate to było osiedle, a najbogatszym ze wszystkich był stary wódz – Calique. Nie starczy palców u rąk i nóg mieszkańców dużego *toldo*¹, aby zliczyć na nich stada jego lam. Trzeba by mówić od wschodu do zachodu słońca, by opisać wszystkie jego bogactwa! Nikt jednak nie potrafiłby opisać piękności jego córki, małej Vicuni!

Nazwano ją Vicuni, bo tak zgrabnie i szybko biegała, bo tak piękne i czarne jak wikunia miała oczy.

Dumny ze swej córki był stary wódz, tak dumny, że żaden z młodych jego plemienia nic wydawał mu się być godnym tego skarbu.

A dalej w dolinie, już poza granicami *tolderii*, stał nędzny szałas-lepianka. Mieszkał, albo raczej czasami tylko odwiedzał go, młody i dzielny Itu. Większą część czasu spędzał daleko w górach. Nie było lepszego nad niego łowcy. Nie było lepszego znawcy przejść i przesmyków górskich. Ze swych samotnych wędrówek wracał wesół i zdrow, niosąc tyle tylko zdobyczy, by przeżyć parę dni – i znów ruszał na łowy.

Jak się stało, że mała Vicuni, córka potężnego wodza i kapłana plemienia, pokochała biednego myśliwego, jak się stało, że młody Itu zarzucił nagle swe odległe wędrówki i polowania, bo wolał patrzeć w piękne oczy Vicuni – tego nikt nie wie...

Lecz gdy stary wódz dowiedział się o tym z szeptów złośliwych ludzi, wybuchnął strasznym gniewem! Zamknięto małą Vicuni. Nie pozwolono jej nawet patrzeć na bezczelnego młodzika!

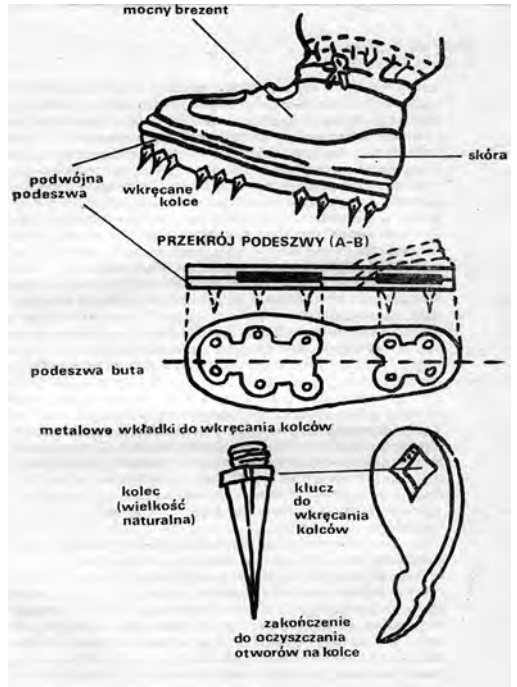
Jak cień smutny chodzi Itu. Nie śpiewał już swoich wesołych i dźwięcznych pieśni...

Wkrótce wielką uroczystość urządzono w osiedlu. Stary wódz postanowił wydać za mąż swoją córkę, wybrać dla niej godnego męża. Wieść

1 Kryty skórąmi lub słomą szałas inkaski (przyp. red.).



Guanako pochodzi z rodziny wielbłądowatych, zamieszkuje wysokie góry Ameryki Południowej, jest to przodek udomowionej alpaki (fot. Wojciech Lewandowski)



Rakobuty pomysłu Adama Karpińskiego

Juczenie mułów





Aby chronić namioty przed silnym wiatrem,
ustawiano je w zaciszu skał

Objuczone muły przeważają się przez rzekę



o takiej jego woli rozeszła się daleko i szeroko. Z najodleglejszych osiedli – ba, nawet z dolin leżących po tamtej stronie ośnieżonych gór – przybyli najbogatsi i najznakomitsi młodzieńcy.

Tak głośna była piękność małej Vicuni!

Na dziedzińcu, przed *toldem* starego wodza, zebrali się dostojni goście i rozłożyli dary wspaniałe. W ich kole siadł ojciec Vicuni i łaskawie słuchał przemówień. Kolejno wstawali młodzieńcy i donośnymi głosami wychwalali swe zalety, długo wyliczali swe niezmierne bogactwa, barwnie opowiadali o swojej dzielności i męstwie. Miał w czym wybierać stary wódz. Aż oczy porażał blask rozłożonych na matach darów! Aż w głowie szumiało od znakomych imion! Aż w serca zakradał się strach, gdy słyszało się o potędze plemion i rodów przybyłych.

Raptem szmer zdziwienia poszedł po tłumie zebranych. Do kręgu wkroczył dumnie Itu i stanął wśród starających się o Vicuni.

Udał stary wódz, że nie widzi tego niesłychanego zuchwalstwa, z pogardą odwrócił głowę, lecz gdy wszyscy skończyli swoje przechwałki, wystąpił Itu i począł mówić.

Dziwna była jego mowa! Jak długo stoi biała Aconcagua – Ojciec Gór, a słońce, dobre bóstwo, odbywa swe codzienne wędrówki, nikt chyba nie słyszał tak dziwnej mowy i nie widział tak bezczelnego młodzieńca! Nie chwalił się przed starym wodzem młody Itu. Nie rzucał na matę darów wspaniałych, nie wyliczał swych zalet i cnót.

Zaczął Itu od skargi. Biadał nad tym, że pusty i nędzny jest jego szałas, że rzadko pali się w nim wesołe ognisko, a smutek spoziera z pustego wnętrza.

– Dawniej – mówił młody myśliwy – rzadkim gościem byłem w *tolderii*, bo ścieżki moje prowadziły daleko, aż w serce potężnych gór. Dawniej wesół byłem. Śpiewałem głośniejsze niż potoki po dnach wąwozów, uganiałem się za guanako i pumy krwiożercze łapałem. Ze szczytów wysokich modliłem się do słońca, dobrego bóstwa naszego, i rozumiałem tajemną mowę gwiazd na nocnym niebie...

Wesoły byłem i wolny jak ptak. Tak było, pókim nie poznał pięknej Vicuni, twej córki, o wielki wodzu!

Skończyły się teraz moje wędrówki bezkresne, nie chodzę już na łowy i nie podsłuchuję śpiewu strumieni górskich. Kroki moje wciąż krążą koło

twego, wodzu, *toldo*. Bo mała Vicuni czar rzuciła na mnie, serce moje zabrała, a w zamian swoje darowała.

I pusty, jeszcze bardziej pusty jest teraz mój szałas, nie wiem nawet, po co ognisko rozpalam! I tak nikt go nie dopilnuje, nikt strawy mi nie uwarzy, nikt nie powita na progę...

I dlatego, o wodzu, daj mi swą córkę, daj mi małą Vicuni, co spokój mój i serce zabrała...

Nie pozwolili skończyć przemowy myśliwemu. Ogromny śmiech buchnął na dziedzińcu. Śmiali się goście, śmiała się służba, nawet kobiety chichotały za zasłonami wejść... Nie śmiał się tylko stary wódz. Straszny był jego gniew. Jakimi słowy przemówił do niego ten oto młodzik?! Ostatni z najostatniejszych biedaków całego osiedla! W obliczu dostojnych gości prosił o jego, wodza plemienia, córkę! Oczy śmiał na nią podnieść!

Wśród śmiechu i kpin gości kazał psy spuścić i szczuć nimi zuchwalca. Ledwo z życiem uszedł Itu. Zniknął z *tolderii*. Przepadł jak kamień w wodę głęboką rzucony, jak ślad na piasku wiatrem zawiany. Lecz przecież zabrał widać z sobą serce małej Vicuni.

I gdy wreszcie wybrał godnego zięcia stary wódz, gdy już szykowano się do hucznych godów – uciekła piękna Vicuni. Nie chciała żyć bez swego Itu. Rzuciła się do skalnej czeluści...

Złamała się duma i pycha wodza. Zrozpaczony kazał szukać na dnie głębokiego wąwozu ciała swej córki, ale zanim do niego dotarli wysłańcy, zleciały się ze wszystkich stron podniebne ptaki – kondory, porwały zwłoki małej Vicuni i na skrzydłach zanosły aż na sam szczyt olbrzymiej turni.

Zgromadzeni u jej podnóża mieszkańcy osiedla i sam stary wódz zobaczyli cud! Z głębi tajemniczych i niedostępnych gór, od strony wiecznymi śniegami okrytych szczytów, nadleciał nie widzianej dotąd wielkości ptak. W szponach niósł czyjeś ciało. A gdy tak zataczał ogromne koła, jakby szukając, wypatrując czegoś, poznali wszyscy, że były to zwłoki młodego Itu...

Uderzeniem wielkich skrzydeł wzbił się kondor wyżej i ostrożnie złożył ciało na wierzchołku turni. Obok ciała pięknej Vicuni...

Od tego czasu skała ta zwie się Skałą Wielkiej Miłości!"

„Jazda górską drogą w Prekordylierach, jeżeli samochód prowadzi Argentyńczyk, należy do rzeczy pozostawiających silne wrażenie”.

Taką notatką Adam zaopatrzył kolejną stronicę prowadzonego dziennika. I miał zupełną rację. Pędziliśmy niesamowicie krętą, tak wąską, że o jakimkolwiek wyminięciu nie było mowy, drogą – jak to się u nas mówi: z górki na pazurki. Zlatywaliśmy w doliny na pełnym gazie, nie zmniejszając go na najostriejszych nawet zakrętach. Nie był to jednak żaden popis jazdy samochodowej naszych gospodarzy, lecz po prostu pośpiech, by uciec przed upałem południa. Jednak wyścig ze spiekotą słoneczną się nie udał. Koło południa spiekota doszła do rzędu piekielnych. Nad nagimi skalistymi zboczami z lekka falowało rozgrzane powietrze, w dolinach natomiast nawet pęd samochodu nie chłodził już zupełnie. W chłodnicy kipi woda, metalowe części parzą przy dotknięciu. Wreszcie wydostajemy się na wysoką przełęcz. Daleko, daleko na zachodzie, ledwo widoczne przez mgłę oddalenia i roztańczone warstwy nagrzanego powietrza, zarysowują się białe plamy grzbietów Kordylierów.

To już Andy! Po raz pierwszy widzimy ich lodowe wierzchołki. Serca zaczynają mocniej bić. Ale jakie gniazda górskie mamy przed sobą, jak nazywają się poszczególne, wyodrębniające się z prawdziwego morza wierzchów szczyty? Tego nam nasi towarzysze powiedzieć nie mogą. Nie wiedzą. Nigdy tak wysoko nie byli. No, bo i po co? Po zimno? Po punę?

Na przełęczy zarządzamy krótki wypoczynek, bezwzględnie potrzebny zgrzanym motorom. Momentalnie ktoś organizuje konkurs strzelania do celu. Gospodarze mają colty dużego kalibru i władają tą bronią popisowo. Widać, że nie przez przypadek czy dzięki indywidualnemu wyczynowi Argentyna ma w strzelaniu z broni krótkiej czołowe miejsce na świecie.

Kok jest wyraźnie zaniepokojony moim gwałtownym zainteresowaniem zawodami.

– Wiktor, daj spokój! Jeszcze się zbłąznisz! Przecież widzisz, prawie każdy ich strzał siedzi w celu!

Mam nowiutki nagan, z którego nie zdążyłem ani razu strzelić przed wyjazdem z kraju, no i mam ogromną chęć wypróbowania!

Wstydu wyprawie nie przyniosłem...

Z przełęczą droga prowadziła ostrymi serpentynami w dół, do głębokiej i szerokiej doliny, do Calingasty. Wśród dzikich i zupełnie pustynnych wzgórz Prekordyliarów, na dnie tej doliny – raj! Wspaniałe sady, cudne winnice, domki po prostu tonące w zieleni i kwiatkach! Kontrast tak duży, że działa wprost oszołamiająco. Czy Calingasta ma jakiś inny klimat? Czy nad tą doliną zatrzymują się chmury i poją ziemię deszczem? Nic podobnego, po prostu mądra gospodarka rąk ludzkich. Z lodowców dalekich Andów spływają strumienie, łączą się w bystre potoki, rzeki, płyną nagimi i pustynnymi dolinami. Chodzi tylko o to, aby ująć te wody, zmagazynować, rozprowadzić kanałami, stworzyć prawdziwą oazę. Właśnie przykładem takiej gospodarki i przedsiębiorczości jest Calingasta.

Tu poznamy jeszcze jedną cechę interioru – gościnność! Niemal biblijnie brzmi powitanie na progu: *mi casa – su casa* (mój dom twoim domem), a ileż serdeczności i życzliwości zawierają te słowa!

Informują nas, że wszystko już przygotowano, że jutro dojedziemy do Tamberías, że tam już czekają przydzieleni przez gubernatora *baqueanos*² z końmi i mułami. A dziś? Mamy jeszcze trochę czasu, by zwiedzić majątek doktora Aldo Cantoniego, ma co pokazać i z czego być dumny.

W interiorze chyba w ogóle nie chodzi się piechotą! Do dyspozycji mamy samochody i osiodłane konie. Budząc popłoch wśród ptactwa, wpada na podwórze mały samochodzik. Wysiada z niego dwunastoletni syn doktora. Dzielne chłopaczysko już doskonale prowadzi maszynę i odbywa samodzielne rajdy po całej estancji. Po chwili widzimy, jak żona gospodarza, udając się na przegląd swojego ptasiego gospodarstwa, siadła do auta, ryknęła klaksonem i... przejechała kilka kroków do kurnika!

Pokazują nam dwie osobliwości tej okolicy: napisy staroindiańskie rzeźbione misternie na pionowej skale i kolosalnej grubości pień krzewu winnego. Jak twierdzi doktor Cantoni, pień ten liczy parę setek lat i został prawdopodobnie zasadzony przez pierwszych białych przybyszów, którzy dotarli w te strony, ale od zachodu, od wybrzeża Oceanu Spokojnego.

Wieczorem – uczta pożegnalna. Nie potrafię jej opisać. Potrawy proste, sporządzone jedynie z własnych produktów estancji, ale usunęłyby chyba

2 Południowoamerykański termin oznaczający sprawnego i dobrze znającego teren przewodnika (przyp. red.).

w cień kulinarne wymysły Lukullusa, a pod względem obfitości starczyłoby co najmniej na cały pluton, i to dobrze wygłodzony!

Następnego dnia – Tamberías. Tu się skończyły wszelkie drogi zdatne dla jakiegokolwiek pojazdu. Dalej prowadzi nas nikły ślad kopyt końskich, kamieniste ścieżki, które się pogubią za kilka dni w coraz dzikszych dolinach. Tam zaczniemy już sami szukać przejść, zostawimy pierwszy ludzki ślad!

W Tamberías poznajemy naszych *baqueanos*...

Spis treści

OD REDAKCJI	3
ZAMIAST WSTĘPU	7
DLACZEGO ANDY?	14
ORGANIZACJA EKSPEDYCJI	20
EKWIPUNEK I ŻYWNOŚĆ	35
MORZEM, KOLEJĄ, SAMOCHODEM...	49
BAQUEANOS, KAKTUSY I MUŁY	62
DO STÓP MERCEDARIO	73
ZNAK ZWYCIĘZCY	82
SKARBY LAGUNA BLANCA	105
DO DOLINY COLORADO	114
ALMA NEGRA I LA MESA	132
ACONCAGUA	152
NAJPIĘKNIEJSZA NOC	175
PO WIELU LATACH	198
POSŁOWIE	216
O UCZESTNIKACH WYPRAWY	246
ANDY PO LATACH	261